

Kazimierz Przeździecki „Piast”.

Urodziłem się 1913 r. we wsi Łopienie-Szelągi, niedaleko Brzozowa, pow. Wysokie Mazowieckie. Przed wojną w wojsku nie służyłem, bo byłem jedyny u matki, a matka była chorowita i wyrobiła zwolnienie mnie od wojska tak, że we wrześniu 1939 r. też nie walczyłem. Mnie chcieli aresztować jeszcze za pierwszych Sowietów. Nie wiadomo jak by to było, ale gdy przyszedł do nas taki Andrzejczuk, co był w radzieckiej milicji (z Pietkowa pochodził, do szkoły razem chodziliśmy to znałem go, na Pietkowszczyźnie był potem ożeniony, na folwarku jego ojciec pracował), to akurat mnie w domu nie było. Raz byłem w Sokolach, to mama powiedziała, że jestem w Brańsku, na jarmarku czyli w drugim kierunku. Potem jeszcze raz tak samo się złożyło, że nie było mnie w domu gdy przyjechali to Andrzejczuk mówił mamie: Powiedzieć Kazikowi, żeby się nie chował, bo mnie mówili że się kryje a ja nie mam do niego żadnej pretensji. Niech on się nie boi, ja mu krzywdy nie zrobię. Jak przyjechałem to mama mi to opowiedziała. Dobra - mówię - jak sam to na pewno mnie nie zaaresztuje, ale przecież i z grupą potrafił zajechać i później powie, że to nie jego wina. W końcu Niemiec pognął Sowietów i tak się to skończyło a on gdzieś przepadł. „Predsiedatiele” we wsi był Zarzecki Julian. Wieś wybrała najbiedniejszego. Zmarł już może ze 30 lat temu. Nie można było na niego narzekać. Koło wsi Sierki pod Tykocinem to lotnisko budowali to każdy z nas musiał normę kamieni i ziemi wywieźć. Do lasu w jakimś nadleśnictwie też musieliśmy jeździć i drzewo wywozić. Każdy z nas musiał no z 5 metrów sześciennych metrów wywieźć. Jeździło nas po 2-3ech. Każdy musiał to robić, bo jak jaki opór to zaraz zrobili wrogiem socjalizmu i za „majtki” i na wschód.

Baza zbrojeniowa Sowietów wtedy była we wsi Wyliny-Ruś, w majątku dawnych Potockich. Byli tu z całymi rodzinami. U nas we wsi nie kwatrowali. W ostatni piątek, 20 czerwca 1941 r., co to zaraz Niemcy uderzyli, to z naszej wsi wywieźli rodzinę młynarza Kazimierza Borowskiego: żonę Helenę i 5-cioro dzieci. Jego to już wcześniej aresztowali i siedział w więzieniu w Białymstoku. Jak Niemiec pognął Sowietów to on zaraz wrócił a żona z dziećmi to dopiero po wojnie, w 1945 czy 46-tym.. Jej szczęście, że umiała szyc to jakoś dała tam sobie radę.

Sowieci przyszedli do nas w 1944 r., w sierpniu chyba. Jeszcze w Białymstoku byli a my już rowy kopali dla Niemców - kilometr od wsi. Gdy Sowieci nadeszli to Niemcy przez dzień bronili się a następnego wycofali się bez jednego strzału. Niedługo potem zaczęła organizować się ta nowa władza i zaraz podziemie, no bo jak to - komuna przyszła to trzeba z nią walczyć.

Chyba w październiku czy w listopadzie to było - chłodnawo było wtedy - gdy władza z Mazowiecka przyjechała do sołtysa i kazali zboże oddawać. Ja nie miałem. Wezwali mnie na UB w Wysokiem Mazowiecku. Powiedziałem: Panie. Ja i wczoraj powiedziałem, że za dwa dni zboża nie oddam i dzisiaj to samo powiem. No, ale oddasz pan? - No oddam, ale zejdzie może tydzień, może dwa. To pamiętaj chłopie, oddaj, bo jak nie to znajdziesz się na białych niedźwiedziach. - No i ja wtenczas zrozumiałem co to znaczy polska władza. Bo ja myślałem, że to na prawdę polska władza jest i wszystko można z nią załatwić. A tu jak jestem oporny to oni nie mówią, że wezmą mnie do więzienia w Wysokiem Mazowiecku czy w Białymstoku tylko na białe niedźwiedzie. Tak że później, jak coś nakazywali, jak jeździliśmy zimowo poro do Narewki, do lasu na wycinke, to ja już nic nie mówił tylko jechał. Wole już tu pojechać jak na białe niedźwiedzie.

Przed „udarem” na Warszawę w 1945 r. to całe okolice były zapchane ich wojskiem. W naszej wsi stali samochodziarze. Nasi wódke pędzili to za nio i ubranie wojskowe potrafili od nich wyfasować i buty wojskowe, jak potrafili z magazynierem pogadać. Mnie to skrzywdzili to jak odjeżdżali na front to mnie ostatnio owce zabrali.

Do organizacji to mnie zaprzysiągł jeden chłopak z naszej wsi, który chodził z partyzantami. To było wtedy jak „Cygan” stworzył swoje grupy i zaczął chodzić. Piętko powiedział mi, że warto by tak siatkę we wsi stworzyć no i chłopaki zapisywali się. Oczywiście nikogo nie zmuszaliśmy. Jak składaliśmy przyrzeczenie, że będziemy wierni organizacji to jeden z grupy „Cygana” wtedy przyszedł i był przy tym. W naszej wsi AK nie było tylko NSZ. A w okolicy to różnie: albo AK, albo NSZ. Za Niemców to żadnej organizacji we wsi nie było, nawet AK.

10-ciu nas było ze wsi w organizacji i każdy miał jakiś pseudonim. Byli to m.in.: Kazimierz Kropiewnicki (ps. chyba „Listek”), Józef Zarzecki (gdzieś indziej wyjechał), Józef Krasocki, Dominik Łapiński (zmarł), Władysław Puchalski (zmarł niedługo potem). Wszyscy byli w zasadzie z podobnego rocznika, tylko jeden Dominik Łapiński był ode mnie starszy o rok. Ja obrałem sobie: „Piaś”. Ten chłopak - nasz dowódca - nazywał się Kazimierz Piętka ps. „Rybak”. Był ode mnie o 10 lat młodszy - 23 rocznik. Miał tylko siostrę Annę. Była młodsza od niego o 2 lata. Ona nadal mieszka we wsi. Nazywa się teraz Jurkowska. Zdjęć po nim to chyba nie ma żadnych. Miałem jedno, to moja mama, obawiając się, że u nas będzie rewizja schowała je pod podwalinę i potem to zdjęcie zginęło, przepadło. Potem jak ten stary dom rozbieraliśmy to szukaliśmy jego ale nic nie znaleźliśmy.

Ta nasza organizacja to nie chodziła na żadne akcje, tyle że to była „siatka” tego „Rybaka”, no ale kilka razy to miał ją

stracha, bo jak chcieli nocować to tylko do mnie przychodzili ci od „Cygana”. Mama zawsze zrobiła im obiad czy śniadanie. A u nas w domu byli dwie rodziny: nasza i stryj z dziećmi. Że stryj mnie nie wyda to ja wiedział, ale dzieci czasami przez nieuwagę, któreś mogło się wygadać czy co, to rozmaicie mogło być. Ci od „Cygana” to w zasadzie zachowywali się grzecznie w naszej wsi. Któregoś razu przyszli nade dniem. Pospali do godziny jakiej 10-tej. Ten „Miedzian” poszedł na wieś i nabierał u ludzi i kielbasy, i słoniny i bimbru. Szedł od domu do domu i prosił. Tak, że najedli się i napili. Później od jednego furmanke wzięli. Pare koni chłop założył i zawióz ich do Poświętnego i tam zwolnili tego chłopca. Co tam dalej było to nie wiem, ale to chyba oni komendanta posterunku wzięli i kazali w nocy iść drogo w lesie. Komendant krzyczał potem do nas, że: Partyzanty zabrali mnie buty za to, że ja najgorszy łajdak z milicjantów. Ludzie śmieli się. Bojał się oprzeć partyzantom, bo inaczej kule dostałby i koniec.

Komuniści robili oblavy na Piętkę, aż wreszcie - niedługo przed amnestią łapnęli go. Siedział w Mazowiecku. Zbili go, ale nikogo nie wydał skurkowy. Jak była amnestia to zwolnili go i on znowu poszedł do partyzantów. Był u „Cygana”, tego z Łap. Z nimi chodził i taki „Dzik”, „Miedzian”, Antek Przebierz (dokładnie jego nazwiska nie pamiętam, ale chyba Przebierz-Przebieszcz?), Tadeusz Bogatko. Antka to potem swoi zastrzelili, bo podejrzewali go o to, że współpracował z UB. A fajny był z niego chłopak, urodziwy jak lalka. Przyszedł tu z Wileńszczyzny, z AK. Bogatko to kawał chłopca był. Taki grzecznowaty był. Dłuższy czas w sąsiednim Motylu był, chyba za służącego. Na drugim, nie naszym, Łopieniu. No i jak przyszedł „Cygan” to zaraz z nim poszedł, zbystrzał trochę. Taki więcej ruchliwy się zrobił. I gdzieś popadł wreszcie. Aresztowań w naszej wsi to nie było. Jedynie tego Piętkę aresztowali.

Ludzie to przeważnie chętnie pomagali partyzantom. Niektórzy to może i niechętnie, bo mógł dostać łanie a czasami i kule w łeb. Wielu z sąsiednich wsi to byli pobrani na UB, nie wiadomo słusznie czy nie słusznie, i już nie wrócili stamtąd takie dostali łanie, np. z Brzozowa Panki Piętka nie wrócił, z ze wsi Koboski taki Czesiek, z Drągów Stanisław Drągowski nie wrócił. Ktoś o nim niedawno pisał w gazecie.

To chyba ich robota była. Memu wujowi w Korabiach zabrali pare koni. Też najpierw najeli na furmanke. Wyjechali za wieś jakieś 2 km, zatrzymali się w lesie i mówio: Gospodarz, złaż z woza. - Panie, ale konie i wóz? - zaprotestował. - Będę przyprowadzone - odpowiedzieli - i nie przyprowadzili. Z naszej wsi też jednemu chłopakowi kazali założyć konie i nie wrócił już do domu. Potem znaleźli go zabitego aż gdzieś pod Choydszewem. Konie też nie wróciły. Ten chłopak nazywał się Kazimierz Truszkowski. Wesoły dzieciak. Nie wiem co oni tam mieli do niego, że go kropnęli. Do organizacji to chyba był jeszcze nawet za młody, bo koledzy na jakieś sekrety to nawet i nie bardzo go brali. No, ale kto go wtedy zabrał na podwoje to nie mam pojęcia. Piętka chodził z nimi kilka razy. Długo z nimi - po ujawnieniu - nie pochodził, bo to przecież gospodarka itp. Ojczym jego na niej gospodarzył. Raz był u „Cygana” przez kilka dni, potem jeszcze raz. Nareszcie wywiązał do Warszawy, jak na pięty zaczęli mu za bardzo następować. Mój kuzyn miał wtedy znajomości w biurze wojskowym czy jakim w Białymstoku, tak że wyrobił Piętkę „lewe” dokumenty i dzięki temu mógł on pojechać do Warszawy.

Po kilku miesiącach Piętka przyjechał do wsi na Wszystkich Świętych, ale do domu nie idzie tylko najpierw zapukał do nas do okna. Obudził mnie i pyta się, czy tu cicho, bo on z Racibor idzie do naszej



wioski. Ja mówię: Spokój. Siadaj to pogadamy. - No i zaczął opowiadać, że ma tam jakąś pracę niezłą. Zamieszkał u jakiejś kobiety jako lokator i wreszcie opowiada mi, że już dwie osoby z naszej wsi widziało się z nim w Warszawie. Jednak dziewczyna i chłopak - Pytlarz. Ty wiesz co - mówię do niego - Ty uciekaj z Warszawy. - Czemu? - A bo ktoś się wygada, nawet przypadkowo w kompanii przy wódce albo co i cie łapno. Zobaczysz. Przestrzegam cie. Uciekaj z Warszawy. Jedź na Śląsk czy gdzie. U chłopca zgodź się za służącego. Będziesz robił i będziesz żył. - Ale tak szkoda - mówi - Takie dobre miejsce mam.

No święta spędził w domu a 2 listopada matka jego poszła na stację do Racibor, kupiła mu bilet (on na stację poszedł nie drogo - bo nawet noco nie chodził drogo tylko polem) i jak pociąg przyszedł na Warszawę tak mu dała bilet i pojechał. A już w marcu, chyba na św. Kazimierza ja dowiaduję się, że on już nie żyje. UB obskoczyło posiadłość, co on kwaterował u tej kobiety. Podobno próbował uciekać, ale któryś z ubowców pociągnął po nim z ukrycia. Kobieta ta opowiadała, że podobno jeszcze dwie godziny żył.

Posterunek milicji to był w Poświętnem. Jakoś możliwie się zachowywali. Potem z nami zaznajomili się, to pół litra postawił, to wzięli wypili ale jak chcieli komu wlepić mandat to zawsze znaleźli okazję. Jeden z komendantów tego posterunku mieszka dziś na Ossem chyba. Kurek się nazywa. Niedawno spotkałem go na rynku. Mówił, że w naszej wsi było 2 szpiclów. ;

„Huzara” znałem jeszcze przed wojną, bo razem na religię chodziliśmy. On wtedy już chyba kadetem był. Kawalerem był. Rodzina w Markowie mieszkała i tam do kościoła chodzili. To była szlachecka rodzina. Przeżywali ich „Krucze”. Ich ojciec pochodził ze wsi Kamieńskie-Wiktory i ożenił się z dziedziczką w Markowie. Miał trzech synów, z których Kazik był najstarszy. Widać było, że do szkół chodził, bo przyjeżdżał do rodziny w stroju uczniowskim. Potem majątek został sprzedany a oni poszli w świat. Czy nie w Warszawie mieszkają?.

Huzarze” to słyszałem jeszcze za Niemca, bo wtedy już oddział prowadził jeszcze jako „Gryf”. Jak raz się spotkali z Niemcami to potem wieś była za to spalona - Krasowo-Częstki. Zginął tam na Krasowie taki chłopak Papiński z Racibor. Był w tym oddziale.

Przez tydzień po tej bitwie był spokój a w sobotę wieś została otoczona przez Niemców. Mieszkańcom z sąsiednich wiosek nakazali zabrać z Krasowa bydło, świnie i zawieść do Szepietowa a chłopów ... . Kto zdążył uciec to ocalał. Chłopi sami rowy kopali a potem Niemcy całymi rodzinami ich tam rozstrzelali. W tym miejscu stoi teraz kaplica.

No a potem usłyszałem o nim jeszcze raz w 1947 r. wigilię świąt Bożego Narodzenia. Wybierałem się wtedy na święta do Białegostoku, do znajomych. Rano usłyszałem strzały na wsi Jabłoń-Dąbrowa. To ubowcy gnali „huzarowców”. „Huzarowcy” trochę się tam im oparli ale w końcu uciekli. Najpierw uciekali na Zdrody, ale tam już ubowcy im drogę zastąpili. Wycofali się więc za stodoły, za olszyny i wtedy na Dąbrowe-Jabłoń uciekli. Tam chyba zastępcą „Huzara” zginął. Przez las - tam chłopca z sankami napotkali to wzięli - przedostali się do naszej wsi i znaleźli się u Józefa Perkowskiego, mego sąsiada, na podwórzu i chcieli drugo furmanke zabrać, żeby uciekać. Akurat krowe doje i przychodzi do mnie żołnierz mówi: Panie, ja u pana chce zostać. - Panie, ja pana nie znam - odpowiedziałem. Ja mieszkałem wtedy na wsi Łopienie-Szelągi. No, ale w tym czasie ten żołnierz krzyknął do drugiego: Komendancie! - Tamten odwrócił się i patrzy, że to „Huzar”. A jak tak, to może pan zostać - mówię do niego. A to się okazało, że on za Dąbrowie został ranny w brzuch. No i został u mnie, a „Huzar” z grupą wsiedli na dwoje sanek i przez Łopienie pojechali na Chodyszewskie lasy. A tego rannego to zaraz przebrałem w cywilne ubranie nie moje tylko dostałem na wsi u gospodarza, bo to był duży chłop, jego wojskowe scho- wałem na ruszcie w słomie i zaprowadziłem do piwnicy z kartoflami. Gdy moja mama przyszła z kościoła to wtedy nakarmiła go. We wsi znalazł się chłopak, który jeszcze przed wojną służył w wojsku jako sanitariusz i założył rannemu opatrunek. Ten ranny nazywał się Wacław Zaleski i potem był sadzony z „Hu- zarem” i skazany na śmierć. Pochodził ze wsi Kostry-Noski. Mój stryj wtedy poszedł do kościoła na pasterkę i dał znać jego ojcu w kościele w Piekutach na pasterce. Wtedy jego ojciec przyjechał do sąsiedniej wsi. U jednego z gospodarzy zostawił konia z sankami i przyszedł synka zobaczyć, bo nie wiedział gdzie my mieszkamy. Przywiózł dla syna ubranie, kozuch i buty, posadził na sanki i pojechali. Cały Łopień był

obstawiony wojskiem a mimo to jego nie zaczepili, aż trudno uwierzyć. Wystarczyło, żeby zechcieli ich wylegitymować, bo przecież ten był ranny.

We wsi Kamieńskie Jaśki mam wuja, wujenke, cało rodzinę jednym słowem. No i wuj opowiadał mi raz jak to któreś nocy - jeszcze przed ujawnieniem - usłyszeli pukanie do drzwi. Otworzyć - usłyszeli. Wujenka pyta się: Kto? - Wojsko. - Pyta się jeszcze raz: Kto? - „Huzar” z grupo. - Panie, ja nie otworze, bo już dosyć tego. Mąż za takie coś półtora roku w lagrach siedział za Niemca. Ledwie wyleczył się z tego wszystkiego (bo partyzantom pomocy udzielił i jak Niemcy jednego z nich łapneli i dali w kość to powiedział u kogo nocowali, to wuj siedział w Białymstoku, potem w Mauthausen - gdzieś koło Gdańska był ten obóz, czy to może Stuthof; chyba w jakich czterech miejscach był; jakoś przeżył, ale jak przyszedł do domu to ważył 40 kilo, gdy normalnie to ważył z 80 - skóra i kości tylko). Nie otworze. - To my drzwi i tak wywalim - usłyszała. No i wujenka otworzyła im. Poczęstowała ich czym miała i na noc do gumna poszli. Jakoś przenocowali na sianie. A to było w marcu, bo śnieg jeszcze nie stopniał.

No, ale jakoś o godz. 5 rano od sąsiedniej wsi idzie wojsko ubowskie. Cała armia. Wuj wpada do stodoły i krzyczy: Panowie uciekajcie, bo jakieś wojsko idzie. - Panie, żeby to było przed wieczorem, to my byśmy uciekali stąd - odpowiedział „Huzar” - a tak jak my zacniem uciekać a oni nas dojrzo i dadzo znać po wszystkich telefonach i zaraz obtoczo z jednej strony i drugiej i koniec będzie. - No to ze stodoły przeszli na chlewy, na ruszt. Tam było pełno słomy. Zresztą szczyt też słomo był kryty. Ubowcy przyszedli do wsi, cało wieś splądrowali, aż w końcu zrobił się wieczór. Wreszcie komendant tej grupy UB przychodzi i mówi do wuja: Panie, ja tu zostaje u pana na kwatere na noc, a tam przecież w chlewie na ruszcie „Huzar” siedzi z chłopakami. Mało tego. Przed domem wuja postawił wartownika. Po jakimś czasie przychodzi do wuja ten wartownik i mówi: Panie. Tam u pana w gumnie coś się tłucze. - Wuje wiedział oczywiście co jest, ale poszedł tam, pochodził, przyszedł i mówi: To krowa żłób rogami obaliła i położył się spać nadal. Wujenka jednak jakoś rano mówi do wuja: Mnie się śniło, że „Huzar” wydar w poszyciu dziure i przez nie uciek. Po jakimś czasie wartownik znowu przychodzi i melduje, że w gumnie jakiś łoskot. To wuj znowu poszedł do gumna i udawał, że zagląda do gumna, to gdzie indziej. No ale przyszedł i znowu się położył. Wreszcie widno się zrobiło. Trzeba było wstawać, bo to i wojskowe już się zbierają. Wuj wtedy zachodzi z drugiej strony chlewka i patrzy, że rzeczywiście z drugiej strony chlewka dziura, a na słomie leży magazynek od automatu. Któryś zgubił.

Z grupy „Cygana” to znałem pseudonimy wszystkich.

W 1947 r. to żaden z nas się nie ujawnił, bo nie mieliśmy

już żadnej łączności z żadną władzą. Ujawnił się wcześniej tylko Piętka, który nas zorganizował, ale tak na prawdę to wszystko było takie martwe, bo każdy był na gospodarce, orał, siał, a tylko on w zasadzie coś tam działał. Nawet nie uczył nas posługiwania się bronią, bo sam w wojsku nie był. Pistolet to miał. Jak UB przyjechało do niego na rewizję to poszycie w gumnie rozebrali, chlewy chcieli rozebrać, to stodołę. Nie wiem czy kuchnię rozebrali czy nie, bo w niektórych miejscach to kuchnię rozebrali - niby to rewizję robili.

Nie pamiętam kiedy to było dokładnie, ale samo czas ujawniania to był. Któregoś razu trzeba było do Piekut wszystkie konie prowadzić do gminy, bo komisja była (lekarz i major z wojska) i wydawali koniom książki i wstawiali im kategorie. No i z naszej wioski najechało nas może z 15-tu. Naraz, patrzym a drogo jado dwie parokonki i żołnierze na nich - po 3-4-ech. Patrzym, a wozy skręcają pod gminę. Od razu „Huzara” się poznało. Niektóre ludzie to od razu zaczęli uciekać, bo bali się że zaraz strzelanina będzie a pan „Huzar” podszedł do pana majora i przedstawił się: „Huzar” jestem. - Major podał rękę a „Huzar” mówi: Proszę wystawić książeczki na te wszystkie konie - i pokazał na te, którymi przyjechali. 4 w zaprzęgu mieli i 4 po bokach szły jeszcze. Major wystawił książeczki i na odjeździe powiedział sobie: Do widzenia - i nie było żadnej obławy.

A czasami to lubiłem zakpić z partyzantów i chyba ktoś szczerknął im, bo jakoś tak niedługo po przejściu frontu odwiedzili mnie. Ja wtedy samo bimber pędził pod jesionami, które rosły u mnie na podwórzu koło gumna. To była noc i sąsiad wtedy u mnie siedział. W pewnym momencie mówi: Ty patrzaj. Księżycowa noc była to sam nie wiem jak mnie oni nie zauważyli. Patrząc: dom obstawiony wojskiem. To

ja chodu za gumno. Sąsiad też. Psy szczekały. Jak w końcu to ucichło to mama wyszła i powiedziała, że byli i zabrali moje saperki wojskowe i garnitur, który uszyłem z niemieckiego płaszcza. Całe szczęście, że mnie wtedy nie spotkali bo musi by i wleli. Skóre by mi wtedy „wyczesali”. Nie wiadomo dokładnie, która grupa to była, chociaż mówili, że to odbiło się 10-ciu czy 12-tu od „Huzara” i chodzili na swoje ręce. No, dosyć, że jak ja przedstawił jednemu - bo pojechał do niego prosić,

żeby jako grupę znaleźć, żeby zahaczyli gdzie tamtych i może ja by dostał swoje ubranie i buty - że mnie ubranie zabrali to on mi odpowiedział, że „Huzar” już znalazł ich ślad i może niedługo ich złapie. A jakże. Dowiedziałem się zaraz, że jakiś tydzień czy dwa później chyba dwóch złapał i rozwalili ich w lesie i pochowali w rowie przy drodze.

Spisał w lipcu 1993 r. Jerzy Kułak.

gw. Jerzy Kułak .